

LEE CHILD

UPROWADZONY



1

Nathana Rubina zabiła odwaga. Nie długotrwała, stanowcza odwaga, dzięki której zdobywa się medale na wojnie, lecz nagły przeblysk, oślepiający ułamek sekundy, który sprawia, że człowiek ginie na ulicy.

Wyszedł z domu wcześniej, jak to robił przez sześć dni w tygodniu, pięćdziesiąt tygodni w roku. Skromne śniadanie, odpowiednie dla krępego, pulchnego mężczyzny, który mimo przekroczonej czterdziestki stara się utrzymać formę. Długa wędrówka wyłożonymi wykładziną korytarzami domu nad jeziorem, odpowiedniego dla mężczyzny, który w każdy z trzystu dni pracy zarabia tysiąc dolarów. Kciuk dotyka przycisku otwierającego drzwi garażu, przekręcenie kluczyka uruchamia cichy silnik drogiego importowanego samochodu. Płyta ląduje w szczelinie odtwarzacza, wóz skręca tyłem na żwirowy podjazd. Zwolnienie hamulca, cichy szcęk skrzyni biegów, wciśnięcie pedału gazu — tak oto rozpoczęła się ostatnia, krótka jazda jego życia. Szósta dwadzieścia dziewięć rano. Poniedziałek.

Przez całą drogę do pracy miał zielone światła. To właśnie stało się jedną z przyczyn jego zgonu, bo gdy wjechał w osłonięte miejsce za budynkiem, do końca preludium *Fugi b-moll*

Bacha brakowało jeszcze trzydziestu ośmiu sekund. Nathan Rubin wysłuchał jej do ostatniego grzmotu organów. Oznaczało to, że gdy wysiadł z samochodu, trzech mężczyźni znaleźli się dość blisko, by mógł do pewnego stopnia zinterpretować ich działanie. Zerknął na nich, a oni jednocześnie odwrócili wzrok i zmienili kurs, razem, niczym tancerze lub żołnierze. Nathan Rubin ruszył w stronę budynku, potem jednak zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Trzej mężczyźni stali przy jego samochodzie. Sprawdzali drzwi.

— Hej! — krzyknął.

Był to krótki uniwersalny okrzyk zdumienia, gniewu i wyzwania, odruchowy dźwięk, jaki wydaje uczciwy naiwny obywatel, gdy dzieje się coś niespodziewanego. Instynktowna reakcja, która staje się przyczyną śmierci uczciwego naiwnego obywatela.

Nathan ruszył do wozu. Tamci mieli przewagę trzy do jednego, ale racja była po jego stronie, co sprawiło, że napiął mięśnie w nagłym przypływie pewności siebie. Szedł w ich stronę, był oburzony, czuł się sprawny i groźny.

Cóż za złudzenie. Miękki mieszkaniec przedmieścia w żadnym razie nie zdołałby sobie poradzić w podobnej sytuacji. Jego sprawność pochodziła wyłącznie z siłowni i nie miała znaczenia. Twarde mięśnie brzucha poddały się po pierwszym brutalnym ciosie. Głowa skoczyła w przód i w dół, twarde kostki zmiażdżyły wargi i strzaskały zęby. Mocne ręce pochwyciły go i przytrzymały w powietrzu, jakby nic nie ważył. Wyrwano mu z ręki kluczyki, poczuł ogłuszające uderzenie w ucho. Do ust napłynęła mu krew. Wylądował na asfalcie, ciężkie buty zaczęły kopać go w plecy, potem w brzuch i w głowę. Jego umysł spowiła czerń, niczym ekran telewizora w samym środku burzy. Świat po prostu zniknął, zwinął się, tworząc cienką, rozżarzoną linię, a potem zgasł.

I tak Nathan umarł z powodu ułamka sekundy szaleńczej odwagi. Ale nie wtedy. Umarł znacznie później, gdy po ułamku

sekundy odwagi nastąpiły długie godziny panicznego, dławiącego strachu, a potem ciągnące się w nieskończoność minuty obłąkańczej, rozwrzeszczanej paniki.

• • •

Jacka Reachera ocaliła ostrożność. Ostrożność przywołana przez słabe echo z przeszłości. Miał bogatą przeszłość, a echo pochodziło z jej najgorszej części.

Odsłużył trzynaście lat w wojsku i tylko raz został ranny — nie kulą, lecz odłamkiem kości szczęki sierżanta piechoty morskiej. Stacjonował wówczas w Bejrucie, w bazie amerykańskiej koło lotniska. Na ulicy wybuchła bomba ukryta w ciężarówce. Reacher stał przy bramie, sierżant piechoty morskiej był sto metrów bliżej wybuchu. Nie zostało z niego nic poza tym odłamkiem kości, który uderzył stojącego sto metrów dalej Reachera i niczym pocisk przebił mu brzuch. Wojskowy chirurg, który zszywał ranę, powiedział później, że Reacher miał szczęście, bo prawdziwa kula w jamie brzusznej byłaby jeszcze gorsza. To właśnie echo usłyszał teraz Reacher i bardzo uważał na każde słowo, ponieważ trzynaście lat później stał bez ruchu, a z odległości pięciu centymetrów celowano mu z pistoletu prosto w brzuch.

Pistolet, dziewięciomilimetrowy automat, nowiusieńki, naliwiony, trzymany nisko, wymierzono wprost w starą bliznę. Facet, który go trzymał, chyba wiedział, co robi. Broń była odbezpieczona, lufa nawet nie drgnęła, zero napięcia, palec na spuście gotowy do wykonania ruchu. Reacher dostrzegł to natychmiast. Skupił uwagę na tym palcu.

Stał obok kobiety, trzymał ją pod rękę. Nigdy wcześniej jej nie widział. Kobieta wpatrywała się w identyczny dziewięciomilimetrowy pistolet, z którego celowano w jej brzuch. Jej napastnik był bardziej spięty niż ten Reachera. Wydawał się niespokojny, zdenerwowany, jego broń drżała. Miał obgryzione paznokcie. Mały nerwus. Cała czwórka stała na ulicy, troje niczym posągi, czwarty lekko przestępował z nogi na nogę.

Znajdowali się w Chicago, w centrum miasta, na ruchliwym chodniku, w poniedziałek, w ostatni dzień czerwca. Jasne słońce, ładny, słoneczny, letni dzień. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy, w sposób, którego nie dałoby się przygotować nawet przez milion lat. Reacher spacerował ulicą, donikąd się nie wybierał, nie szedł ani szybko, ani wolno. Miał właśnie minąć wyjście z pralni chemicznej, gdy drzwi otworzyły mu się tuż przed nosem i na chodnik pod jego stopy upadła stara metalowa kula. Reacher podniósł wzrok i zobaczył stojącą w drzwiach kobietę. Niewiele brakowało, a upuściłaby dziewięć worków z pralni. Dobiegała trzydziestki — ciemnowłosa, spokojna, ładna, ubrana w dość drogie ciuchy. Coś było nie tak z jej nogą, musiała doznać jakiegoś urazu. Jej dziwna postawa świadczyła o tym, że cierpi. Popatrzyła na niego prosząco. Odpowiedział spojrzeniem mówiącym: nie ma sprawy, i podniósł kulę. Jedną ręką odebrał kobiecie worki, drugą wręczył kulę. Torby zarzucił na ramię, czując, jak dziewięć drucianych wieszaków wrzyna mu się w palec. Kobieta oparła kulę o chodnik i wsunęła przedramię w specjalny wygięty uchwyt. Reacher podał jej rękę, zaważała się, po czym skinęła głową zawstydzona, a on wziął ją pod ramię i odczekał chwilę. Wiedział, że pomaga, ale czuł się dziwnie. Odwrócili się razem, by odejść. Reacher sądził, że przejdzie z nią kilka kroków, aż kobieta odzyska panowanie nad sobą, potem puści jej rękę i odda ubrania. Jednak kiedy się odwrócił, ujrzał tuż przed sobą dwóch mężczyzn, którzy trzymali w rękach pistolety samopowtarzalne kalibru dziewięć milimetrów.

Cała czwórka zamarła, stojąc twarzą w twarz, parami, niczym cztery osoby jedzące razem kolację w ciasnej łoży w restauracji. Dwaj trzymający broń mężczyźni byli biali, dobrze odżywieni, zachowywali się z lekką, wojskową precyzją. Byli też trochę do siebie podobni — średni wzrost, krótkie brązowe włosy, potężne muskularne dłonie. Wielkie bezmyślne twarze, nieciekawe różowe rysy, napięcie w twardych oczach. Nerwowy

facecik był niższy, zupełnie jakby większość energii zużywał na martwienie się. Obaj mieli na sobie koszule w kratę i popelinowe kurtki. Stali tuż obok siebie. Reacher, który znacznie przewyższał wszystkich wzrostem, mógł się rozejrzeć, patrząc nad ich głowami. Stał jednak zaskoczony, z ubraniami kobiety zarzuconymi na ramię. Kobieta wspierała się na kuli, milczała. Dwaj mężczyźni celowali do nich z broni. Reacherowi wydawało się, że stoją tak bardzo długo, wiedział jednak, że to mylące uczucie. Prawdopodobnie minęło zaledwie półtorej sekundy.

Mężczyzna stojący naprzeciwko Reachera był chyba przywódcą. Spokojnie wodził wzrokiem od Reachera do kobiety. W końcu machnął bronią, wskazując krawężnik.

— Do wozu, suko — polecił. — I ty, dupku.

Mówił z naciskiem, lecz cicho, władczo, praktycznie bez akcentu, może z odrobiną kalifornijskiego. Przy krawężniku czekał samochód — wielki, czarny, drogi wóz. Kierowca pochylał się nad przednimi siedzeniami, wyciągając rękę, starał się zwolnić zamek w drzwiach. Mężczyzna stojący naprzeciwko Reachera znów machnął bronią. Reacher nawet nie drgnął. Spojrzał w prawo, w lewo i uznał, że ma jeszcze półtorej sekundy, by dokonać wyboru. Dwaj faceci z pistoletami automatycznymi niespecjalnie go martwili. Z powodu prania dysponował wprawdzie tylko jedną wolną ręką, uznał jednak, że bez trudu załatwi ich obu. Problemy kryły się obok i za jego plecami. Zerknął w okno pralni, korzystając z niego niczym z lustra. Dwadzieścia metrów dalej chodnikiem przelewał się gęsty tłum. Kilka zbłąkanych pocisków z łatwością znalazłoby cel. Bez dwóch zdań. Oto problem za jego plecami. Problem obok to nieznaną kobietą. Nie miał pojęcia, jak zachowa się w takiej sytuacji. Ma niesprawną nogę, z pewnością zareaguje z opóźnieniem, będzie poruszała się powoli. Nie zamierzał wdawać się w bójkę, nie w tym otoczeniu, nie z kimś takim u boku.

Mężczyzna mówiący z lekkim kalifornijskim akcentem chwycił przegub Reachera, obciążony dziewięcioma workami z praniem. Pociągnął go do samochodu. Palec wskazujący nadal czekał na swoją chwilę, Reacher obserwował go kątem oka. Puścił rękę kobiety, podszedł do wozu, cisnął worki na tylne siedzenie i wsunął się za nimi. Kobieta wyładowała obok niego, potem do środka wgramolił się nerwusek i zatrzasnął drzwi. Przywódca usiadł z przodu, po prawej. Trzasnął drzwiami. Kierowca pchnął dźwignię biegów i samochód potoczył się cicho ulicą.

• • •

Kobieta jęczała z bólu. Reacher domyślił się, że nerwusek wbija jej broń między zębra. Przywódca tkwił odwrócony na przednim siedzeniu. Uzbrojoną w pistolet dłoń opierał na skórzanym zagłówku, celując wprost w pierś Reachera. To był glock 17. Reacher wiedział o nim wszystko. Oceniał prototyp pod kątem przydatności dla swojej jednostki — takie otrzymał zadanie podczas okresu rekonwalescencji w Bejrucie. Glock to niewielka solidna broń, niecałe dziewiętnaście centymetrów długości, od iglicy po koniec lufy, dostatecznie długa, by utrzymać celność. Reacher trafił z niego w pinezki z odległości dwudziestu pięciu metrów. Pistolet ten strzelał całkiem solidnymi pociskami, ponadsiędmigramowymi, które wyrzucał z prędkością ponad tysiąc dwustu kilometrów na godzinę. Siedemnaście pocisków w magazynku, stąd nazwa. Był lekki — mimo swej siły rażenia ważył raptem siedemset trzy gramy. Najważniejsze części zrobiono ze stali, resztę z plastiku, czarnego poliwęglanu, jak w drogim aparacie fotograficznym. Doskonała robota.

Jednak Reacher jakoś go nie polubił i uznał, że nie spełnia wyspecjalizowanych wymagań jego jednostki. Zalecił odrzucenie kontraktu i zamiast tego oddał głos na berettę 92F. Beretta, także dziewięćmilimetrowa, była o ćwierć kilo cięższa, trzy

centymetry dłuższa, miała o dwa pociski mniej w magazynku, lecz jej siła strzału była o dziesięć procent większa niż w glocku. To się liczyło. A poza tym nie zrobiono jej z plastiku. Reacher wybrał berettę, dowódca jednostki zgodził się z jego opinią i przesłał ocenę Reachera dalej. Cała armia poparła tę rekomendację. W tym samym tygodniu, w którym go awansowano i przypięto mu do piersi Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce, armia zamówiła beretty, choć były droższe, a NATO miało świra na punkcie glocków, i choć Reacher, który niedawno opuścił West Point, jako jedyny wypowiedział się w tej kwestii. Potem przydzielono go gdzie indziej, służył na całym świecie i nie miał już styczności z glockiem 17 — aż do tej chwili. Dwanaście lat później mógł mu się przyjrzeć dokładnie i z bliska.

Odwrócił wzrok od broni, skupiając się na trzymającym ją napastniku. Tuż przy linii włosów jaśniała całkiem niezła opalenizna. Widać, że niedawno odwiedził fryzjera. Kierowca miał wysokie błyszczące czoło, rzędzące włosy zaczesane do tyłu, różową, żywą twarz i uśmiezek typowy dla paskudnych facetów, którzy sądzą, że są przystojni. Taka sama tania koszula z supermarketu, taka sama kurtka, takie samo masywne ciało, pewność siebie zabarwiona lekkim zdenerwowaniem. Trzej faceci, wszyscy mieli na oko około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat — jeden przywódca, jeden nerwus, jeden spokojny wykonawca. Wszyscy spięci, lecz sprawni, najwyraźniej wykonujący zadanie. Zagadka. Reacher spojrzał ponad lufą glocka w oczy przywódcy, tamten jednak pokręcił głową.

— Bez gadania, dupku — warknął. — Zaczynj gadać, to cię zastrzelę. Masz moje słowo. Siedź cicho, a może przeżyjesz.

Reacher mu uwierzył. Gość miał twarde oczy, mocno zaciskał usta. Jechali w milczeniu. Po chwili samochód zwolnił i skrzył na wyboisty betonowy plac. Skierował się za opuszczony budynek przemysłowy. Według szacunków Reachera oddalili się jakieś siedem kilometrów na południe od centrum. Kierowca

zatrzymał samochód tak, by jego drzwi znalazły się dokładnie naprzeciwko tylnego wejścia do niewielkiej ciężarówki. Ciężarówka stała samotnie na pustym parkingu — ford econoline, brudnobiały, nie stary, lecz wyraźnie używany. Napis na boku zamalowano niedawno białą farbą, nie do końca pasującą do reszty karoserii. Reacher się rozejrzał. Cały parking wypełniały śmiecie. Dostrzegł porzuconą nieopodal puszkę po farbie i pędzel. W pobliżu nie było nikogo. Pusto. Jeśli ma coś zrobić, to znalazł się we właściwym miejscu, nadeszła też odpowiednia pora. Lecz facet z przodu uśmiechnął się lekko i sięgnął na tył wozu. Lewą ręką złapał Reachera za kołnierz, prawą wbił mu w ucho koniec lufy glocka.

— Siedź spokojnie, dupku — rzucił.

Kierowca wysiadł z samochodu i okrążył maskę. Wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył tylne drzwi ciężarówki. Reacher siedział bez ruchu. Wetknięcie pistoletu w ucho to nie najlepszy pomysł — jeśli ofiara nagle szarpnie głową i ją odwróci, pistolet się wysunie, omijając czoło. Wówczas nawet szybka reakcja niewiele pomoże. Niewykluczone, że strzelec zdoła przedziurawić zewnętrzną część ucha ofiary, z pewnością rozwali jej też bębenek, ale nie są to rany śmiertelne. Reacher przez sekundę rozważał swoje szanse, a potem nerwus wyciągnął kobietę z wozu i pchnął w stronę ciężarówki. Kuśtykając i podskakując, pokonała krótki odcinek dzielący jedne drzwi do drugich. Reacher obserwował ją kątem oka. Napastnik odebrał jej torebkę i cisnął do wozu. Wylądowała u stóp Reachera, uderzając ciężko o grubą wykładzinę. Duża torba z pięknej skóry, w środku coś ciężkiego, metalowego. Tylko jedna metalowa rzecz w torbie kobiety mogłaby wylądować tak ciężko. Z nagłym zainteresowaniem znów zerknął na swoją towarzyszkę.

Leżała bezwładnie w ciężarówce, boląca noga wyraźnie jej przeszkadzała. A potem przywódca z przodu pociągnął Reachera w bok i przekazał go nerwusowi. Glocka w uchu zastąpił

drugi, wbity pod żebra. Pociągnięto go naprzód, przez parking, na tył ciężarówki, i wepchnięto do środka, gdzie znajdowała się już kobieta. Nerwus pilnował ich obojga, celując z lekko trzęsącego się glocka. Tymczasem przywódca sięgnął do wozu i wyciągnął metalową kulę kobiety. Podszedł do nich i wrzucił ją do środka. Kula z brzękiem rąbnęła o ściankę. Worki z praniem i torebkę zostawił w samochodzie. Z kieszeni kurtki wyjął kajdanki. Jedną bransoletę zatrzasnął na prawym przegubie kobiety, szarpnął nią w bok, chwycił lewą rękę Reachera i zacisnął kajdanki. Potrząsnął nimi, sprawdzając, czy są wystarczająco ciasne. Z głośnym trzaskiem zamknął drzwi ciężarówki z lewej strony. Reacher dostrzegł jeszcze, jak kierowca wylewa coś do samochodu z plastikowych butelek — jasny płyn, silna woń benzyny, jedna butelka z tyłu, jedna z przodu. A potem przywódca zatrzasnął prawe drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Reacher, nim spowiła go ciemność, był kierowca wyciągający z kieszeni pudełko zapalek.

2

Dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilometry od Chicago przygotowywano właśnie kwatere gościnną składającą się z jednego pokoju. Pokoju bardzo niekonwencjonalnie zaprojektowanego, według wskazówek niezwykle dokładnego człowieka, który starannie przemyślał każdy szczegół. Wymagało to dość nietypowych przygotowań.

Pomieszczenie przeznaczono do określonych celów, dla konkretnego gościa. Zarówno cel, jak i osoba gościa wymagały wprowadzenia dodatkowych elementów. Skupiono się na pierwszym piętrze istniejącego już budynku. Zleceniodawca wybrał pokój narożny, wyposażony w kilka dużych okien na obu zewnętrznych ścianach. Okna wychodziły na południe i wschód. Szyby wybito i zastąpiono grubymi deskami przymocowanymi do framug. Na zewnątrz deski pomalowano na biało, na kolor ścian budynku, wewnątrz nikt nie zadał sobie takiego trudu.

Sufit narożnego pokoju zerwano. Budynek był stary, sufit gruby i gipsowy. Wkrótce gips wyładował na podłodze w obłokach duszącego pyłu. Teraz widać było więźbę dachową. Wewnętrzne ściany wyburzono. Niegdyś pokrywała je stara sosnowa boazeria, gładka i błyszcząca. Obecnie zniknęła, odsłaniając konstrukcję budynku i grubą, starą papę. Zerwano

też deski podłogi. Pod masywnymi legarami można było dostrzec zakurzony sufit pokoju poniżej.

Stary gips i deski ze ścian i podłogi wyrzucono przez okna, zanim je zabito. Dwaj mężczyźni zajmujący się przebudową zgarnęli wszystkie śmieci na jeden duży stos. Potem podjechali ciężarówką i zaczęli ładować je łopatami do środka. Bardzo im zależało, by zostawić wszystko w należyтым porządku. Po raz pierwszy pracowali dla tego zleceniodawcy, który wspominał mętnie o kolejnych projektach, a gdy się rozejrzeli, doszli do wniosku, że istotnie czeka ich tu jeszcze sporo pracy. Bardzo optymistyczna sytuacja. Trudno o nowe kontrakty, a ten zleceniodawca niespecjalnie przejmował się ceną. Obaj mężczyźni uznali, że w ich interesie leży zrobienie znakomitego pierwszego wrażenia. Szybko i sprawnie ładowali do ciężarówki ostatnie kawały gipsu, gdy nagle pojawił się ich zleceniodawca.

— Skończone? — spytał.

Był potężnym, nalany facetem o wysokim głosie. Na jego białych policzkach wykwitły dwa rumieńce wielkości drobnych monet. Poruszał się lekko i cicho, jak człowiek znacznie lżejszy. W sumie ktoś, na kogo ludzie wolą nie patrzeć i komu odpowiadają bardzo szybko.

— Zostało tylko sprzątanie — wyjaśnił pierwszy z robotników. — Gdzie mamy to wyrzucić?

— Pokażę wam — odparł zleceniodawca. — Będziecie musieli obrócić dwa razy. Deski zabierzecie osobno, prawda?

Drugi robotnik przytaknął. Deski miały szerokość czterdziestu pięciu centymetrów, pochodziły z czasów, gdy drwale mogli wybrać dowolne drzewo, i nie było mowy, żeby zmieściły się na pace z resztą gruzu.

Kiedy skończyli ładować gips, pracodawca wcisnął się wraz z nimi do kabiny. Był tak wielki, że zrobiło się ciasno. Wskazał drogę za starym budynkiem.

— Na północ — polecił. — Około półtora kilometra.

Droga opuszczała miasteczko i wijąc się, pokonywała serię stromych zakrętów. Pracodawca wskazał pewne miejsce.

— Tutaj — rzekł. — Na sam tył, dobrze?

Odszedł cicho, a robotnicy zaczęli rozładowywać ciężarówkę. Wrócili pod dom i wrzucili na pakę stare sosnowe deski. Ponownie pokonali krętą drogę, rozładowali samochód, zanieśli deski do środka, ułożyli w staranny stos na samym końcu ciemnego miejsca. Nagle z cienia wyłonił się pracodawca. Czekał na nich. Trzymał coś w ręku.

— Skończone — oznajmił pierwszy robotnik.

— Tak jak wy — odparł pracodawca.

Uniósł rękę. Trzymał w niej pistolet, czarny automat. Pierwszemu z robotników strzelił w głowę, kula uderzyła w czaszkę z ogłuszającym hukiem, rozbryzgując wokół krew, kawałki kości i mózgu. Drugi zamarł ze zgrozy, po czym rzucił się do ucieczki. Rozpaczliwie miotał się na boki, szukając schronienia. Zleceniodawca się uśmiechnął. Lubił, kiedy uciekali. Opuścił nieco potężną rękę. Wystrzelił. Kula trafiła uciekiniera w kolano. Zleceniodawca znów się uśmiechnął. Jeszcze lepiej. Lubił, kiedy uciekali, ale jeszcze bardziej, kiedy wili się na ziemi. Długą chwilę stał, słuchając wrzasków mężczyzny, a potem podszedł cicho i wycelował starannie w drugie kolano. Patrzył przez jakiś czas. W końcu znudziła mu się zabawa, wzruszył ramionami i trzecim strzałem trafił robotnika w głowę. Potem położył broń na ziemi i przeturlał zwłoki, póki nie spoczęły równiutko tuż obok rzędu starych desek podłogowych.

3

Jechali godzinę i trzydzieści trzy minuty. Najpierw powoli w mieście, potem przyspieszyli, utrzymując równe tempo. W sumie jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów. Lecz siedząc w hałaśliwym mroku wewnątrz ciężarówki, Reacher nie miał pojęcia, w którym kierunku zmierzają.

Był przykuty kajdankami do młodej kobiety z niesprawną nogą. Przez pierwszych kilka minut wymuszonej znajomości usiłowali usadowić się jak najwygodniej. Pełzali wewnątrz ciężarówki, w końcu usiedli obok siebie na podłodze z wyprostowanymi nogami, oparci o osłonę koła po prawej. Kobieta siedziała tyłem, Reacher przodem. Ich skute przeguby spoczywały na płaskiej metalowej osłonie, jak u kochanków siedzących razem w kawiarence.

Z początku milczeli. Długi czas siedzieli w ciszy, oszołomieni. Podstawowy problem stanowił upał — było południe ostatniego dnia czerwca na Środkowym Zachodzie. Zamknięto ich w metalowym pudle pozbawionym wentylacji. Pęd powietrza na pewno nieco chłodził ciężarówkę, ale to zdecydowanie nie wystarczało.

Reacher siedział w mroku i w martwej, rozpalonej ciszy rozmyślał i planował, tak jak go nauczono. Zachowaj spokój,

odpręż się, bądź gotowy, nie marnuj energii na bezsensowne domysły, oceniał. Trzej napastnicy wykazali się pewną sprawnością. Nie mieli może talentu, nie działali z finezją, ale nie popełniali rażących błędów. Najślabsze ogniwo stanowił nerwus z drugim glockiem, lecz przywódca rekompensował to z nawiązką. Sprawna trójka, widywał gorszych. Na razie jednak się nie przejmował, bywał już w większych opałach, w znacznie większych, i to niejednym razem. I przeżył. Toteż na razie się nie martwił.

A potem coś zauważył. Kobieta także się nie martwiła, ona również zachowywała spokój. Po prostu siedziała, kołysząc się, przykuta do jego przegubu, pogrążona w myślach. Może ją także nauczono planować? Zerknął na nią w ciemności i stwierdził, że przygląda mu się uważnie, spokojnie, pytająco, nieco wyniośle, z odrobiną dezaprobaty. Młodzieńcza pewność siebie. Spojrzała mu prosto w oczy, patrzyła długo. Potem wyciągnęła prawą rękę w kajdankach, szarpiąc przegub Reachera. Mimo wszystko był to jednak zachęcający gest. Reacher wyciągnął prawą dłoń i uściśnił jej rękę. Oboje uśmiechnęli się z ironią na ten formalny gest.

— Holly Johnson — przedstawiła się kobieta.

Oceniała go. Widział, jak jej wzrok wędruje po jego twarzy. Potem krótka ocena ubrania i znów twarz. Uśmiechnęła się, krótko, jakby uznała, że zasłużył na uprzejmość.

— Miło mi pana poznać.

Odpowiedział podobnym spojrzeniem. Przyjrzał się jej twarzy — bardzo ładna babka, jakieś dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat. Otaksował jej ubranie. W głowie zadźwięczał mu fragment starej piosenki: *Kiecki za sto dolarów, za które nie zapłaciłam*. Czekał na dalszy ciąg, ale ten nie nadszedł, więc uśmiechnął się i skinął głową.

— Jack Reacher — rzekł. — Wierz mi, Holly, cała przyjemność po mojej stronie.

Trudno im było rozmawiać, bo w ciężarówce panował hałas.

Warkot silnika zagłuszał odgłosy dobiegające z drogi. Reacher chętnie posiedziałyby w ciszy, ale nie Holly.

— Muszę się ciebie pozbyć — oznajmiła.

Pewna siebie kobieta, która panuje nad sytuacją. Nie odpowiedział, zerknął tylko na nią i odwrócił wzrok. Oto ciąg dalszy piosenki: *Zimna, zimna kobieta*. Smutny, bolesny tekst, stara piosenka Memphis Slim, ale nie pasowała do niej, ani trochę. To nie była zimna kobieta. Spojrzał na nią i wzruszył ramionami, a ona patrzyła na niego, zniecierpliwiona milczeniem.

— Rozumiesz dokładnie, co się stało? — spytała.

Obserwował jej twarz, oczy. Patrzyła wprost na niego. W jej oczach dostrzegł zdumienie. Sądziła, że ma do czynienia z idiotą, że właściwie nie zrozumiał, co zaszło.

— To przecież jasne — powiedział. — Dowody są jednoznaczne.

— Jakie dowody? — spytała. — Wszystko skończyło się w ułamku sekundy.

— Właśnie. Nie potrzeba nam więcej dowodów. Wiem już wystarczająco dużo.

Odprężył się. Następną szansę ucieczki będą mieli na kolejnym przystanku, może dopiero za kilka godzin. Obawiał się, że czeka go długi dzień. Musi być przygotowany, zachować siły.

— Co wiesz? — spytała kobieta.

Nie spuszczała z niego wzroku.

— Zostałaś porwana. Ja znalazłem się tu przypadkiem.

Ciągle na niego patrzyła, nadal pewna siebie, pograżona w myślach. Wciąż nie wiedziała, czy ma do czynienia z durniem.

— To przecież jasne — powtórzył. — Nie o mnie im chodziło.

Nie odpowiedziała, uniosła tylko brew.

— Nikt nie wiedział, że tam będę, nawet ja sam, póki nie znalazłem się na miejscu — ciągnął Reacher. — A operacja

została doskonale zaplanowana. To musiało wymagać czasu i rozpoznania, zgadza się? Trzej faceci, jeden w samochodzie, dwaj na ulicy, samochód zaparkowany dokładnie naprzeciwko. Nie mieli pojęcia, gdzie będę. Ale bez wątplenia wiedzieli doskonale, gdzie będziesz ty. Nie patrz więc na mnie, jakbym to ja był idiotą. To ty popełniłaś wielki błąd.

— Błąd? — powtórzyła kobieta.

— Prowadzisz zbyt uregulowane życie — wyjaśnił Reacher. — Badali twoje zwyczaje przez dwa, trzy tygodnie. Weszłaś wprost w pułapkę. Nie spodziewali się nikogo innego, to przecież jasne. Mieli tylko jedne kajdanki.

Unióś rękę, podnosząc także jej dłoń, by podkreślić swoje słowa. Kobieta milczała przez długą chwilę. Najwyraźniej dokonywała rewizji poglądów na temat swojego towarzysza. Reacher zakotłosał się w rytm poruszeń ciężarówki i uśmiechnął się.

— A nie powinnaś popełniać takich błędów — dodał. — Jesteś agentką rządową, prawda? DEA, CIA, FBI, coś w tym stylu. Może chicagowska policja. Nowicjuszka, wciąż oddana służbie i raczej bogata. Zatem albo ktoś porwał cię dla okupu, albo, mimo że jesteś nowa, narobiłaś już komuś problemów. Tak czy inaczej, powinnaś bardziej uważać.

Popatrzyła na niego i skinęła głową. W ciemności dostrzegł szeroko otwarte oczy. Była pod wrażeniem.

— Dowody? — spytała.

Uśmiechnął się.

— Kilka rzeczy. Twoje pranie. Domyślam się, że co poniedziałek podczas przerwy na lunch zabierasz do pralni rzeczy z zeszłego tygodnia i odbierasz poprzednie. To oznacza, że musisz dysponować co najmniej piętnastoma, dwudziestoma różnymi strojami. Sądząc po tym, co masz na sobie, nie ubierasz się byle gdzie. Minimum czterysta dolców za kostium. W sumie ciuchy za ponad osiem tysięcy. To właśnie nazywam oznaką średniej zamożności... i zbyt regularnym trybem życia.

— Dobrze — rzekła. — A dlaczego sądzisz, że jestem agentką?

— To łatwe. Grożono ci glockiem siedemnaście, wciągnięto do samochodu, wrzucono do ciężarówki, przykuto do obcego faceta, nie masz pojęcia, dokąd cię zabierają ani dlaczego. Normalna kobieta wpadłaby w panikę, krzyczałaby, szalała ze strachu. Ale nie ty. Ty siedzisz spokojnie, co sugeruje, że przeszedłeś szkolenie, a może także oswoiłeś się z niebezpiecznymi sytuacjami. Może wiesz również, że wkrótce zaczną cię szukać jacyś ludzie.

Umilkł. Skinieniem głowy zachęciła go, by mówił dalej.

— Poza tym miałeś w torebce broń. Ciężką, może trzydziestkęósemkę, długa lufa. Gdyby to była prywatna spluwa, ktoś taki jak ty wybrałby coś lekkiego, na przykład dwudziestkę-dwójkę. Ale ty miałeś duży rewolwer, co oznacza, że ci go przydzielono. Czyli jesteś agentką albo gliną.

Kobieta znów skinęła głową.

— Dlaczego twoim zdaniem jestem nowicjuską?

— Twój wiek — wyjaśnił Reacher. — Ile masz lat? Dwadzieścia sześć?

— Dwadzieścia siedem.

— Młoda jak na detektywa. College, kilka lat w mundurze. Jak na agentkę FBI, DEA bądź CIA także młoda. Więc cokolwiek robisz, robisz to od niedawna.

Wzruszyła ramionami.

— No tak — zgodziła się. — A oddana pracy?

Reacher wskazał lewą ręką, zadzwięczały kajdanki.

— Twój uraz — powiedział. — Wróciłeś do pracy po wypadku, zanim odzyskałeś pełną sprawność. Wciąż chodzisz o kuli. Większość ludzi w takiej sytuacji zostałaby w domu na zwolnieniu.

Uśmiechnęła się.

— Mogłabym być inwalidką — podsunęła. — Taka się urodzić.